

Zdzisław M. Rurarz

KRYZYS III RP

Wydawnictwo: Polonian

<http://www.polonian.com>

Chicago, grudzień 2003

Od Redakcji

Ze względu na wagę podniesionych przez Zdzisława M. Rurarza problemów w 40-odcinkowej serii artykułów i Posłowie, napisanych w okresie 7 września - 6 grudnia 2003 r. i systematycznie publikowanych na naszych łamach pt. "Kryzys III RP", postanowiliśmy rozproszony tekst wydać w zwartej całości.

Poszczególne rozdziały, podobnie jak to było dotąd, nie są zatytułowane, a jedynie opatrzone kolejnymi numerami i bez dat ich napisania

Prof. dr hab. Zdzisław M. Rurarz jest byłym ambasadorem PRL w Japonii, który, protestując przeciwko "stanowi wojennemu" zwrócił się o azyl polityczny do USA, za co spotkał go zaoczny wyrok śmierci, pozbawienie obywatelstwa polskiego, praw majątkowych i honorowych. "Nowa Polska" wyrok śmierci formalnie uchylła, ale pozostałe kary utrzymała w mocy. Obecnie Z. M. Rurarz jest obywatelem USA i mieszka w pobliżu Waszyngtonu.



16 grudnia 2003 r.

Wydawnictwo POLONIAN.com

I

Z kraju coraz częściej dochodzą głosy, że licząca sobie niecałe czternaście lat III RP wali się od fundamentów i że niektórzy intelektualiści podejmują nawet wysiłki w kierunku zastąpienia jej przez IV RP. Czym miałyby nowa różnić się od obecnej, jeszcze nie wiadomo, podobnie jak nie ma żadnej pewności, że do takiej zamiany istotnie dojdzie.

Co się stało, że III RP, do niedawna opiewana jeszcze jako "tygrys Europy", znalazła się raptem w kryzysowej sytuacji, z której wielu Polaków nie widzi wyjścia i mówi o jej demontażu?

Odpowiedzią na pytanie są wyniki badań opinii publicznej. Jeśli im wierzyć, to zaufanie Polaków do "instytucji demokratycznych", czyli demokracji, nie przekracza dziś 12-16 procent.

A ponieważ Polakom demokracja kojarzy się z gospodarką rynkową, więc należy mniemać, że i ona nie cieszy się ich powszechnym poparciem.

Gdzie więc szukać przyczyn nieufności większości Polaków do III RP?

Sądząc z niektórych głosów napływających z kraju na temat sytuacji, w jakiej znalazła się III RP, przyczyny nieufności do niej większości Polaków nie są bezpodstawne.

Dwa z tych głosów zasługują na szczególną uwagę.

Pierwszy, to głos prof. Leny Kolarskiej-Bobińskiej, dyrektora Instytutu Spraw Publicznych¹.

Drugi, to głos red. Jacka Żakowskiego z tygodnika "Polityka"².

Prof. Kolarska-Bobińska po prostu stwierdza, że "teraz wszyscy czekają na IV Rzeczpospolitą, która stała się symbolem odnowy, zbawienia" i że "nadszedł czas na trzeci

etap transformacji” (pierwszym były reformy gospodarcze przełomu lat 80. i 90., a drugi, to reformy służby zdrowia, ubezpieczeń społecznych, edukacji). Trzeci etap z kolei, to “reforma instytucji publicznych, reforma państwa” (duże nadzieje z tym etapem wiąże ona z członkostwem Polski w Unii Europejskiej).

Red. Żakowski twierdzi natomiast w swoim artykule, że Polacy mają “gospodarkę z Marsa”, a “państwo z Wenus”, które rozpada się i “strach pomyśleć co będzie za pół roku albo za dwa lata, jeżeli nie uda się tego rozpadu zatrzymać”.

Oba stanowiska, aczkolwiek różniące się w słowach, są właściwie identyczne w treści.

Prof. Kolarska-Bobińska jest zdania, że czas najwyższy zabrać się za III fazę transformacji. Dwa etapy, w domyśle udane, Polacy mają już bowiem za sobą. Bez trzeciego jednakże, ani rusz dalej.

Red. Żakowski zaś żałuje, iż Polsce zabrakło “Leszka Balcerowicza od reformy państwa”. Znalazł się “Balcerowicz od reformy gospodarki” (z artykułu wynika, że udanej), ale od “reformy państwa” jak go nie było, tak go nadal nie ma.

Z tych dwóch głosów można wysnuć wniosek, że w Polsce panuje przekonanie, iż dokonywana transformacja, rezultat wydarzeń lat 1989/1990, w wyniku których PRL została zastąpiona przez III RP, była jak zjawiskiem normalnym, a jedynie nabrojono w trakcie jej realizacji. Czegoś nie dopatrzono, kolejność reform albo pomyłono, albo nie przemyślano, a w wyniku tego III RP znalazła się w ciężkim kryzysie i kto wie, czy uleczalnym.

Poglądy tego rodzaju - przynajmniej moim zdaniem - są nieporozumieniem.

Zacząć bowiem należałoby od tego, że dokonywana transformacja, która ogarnęła Polskę w drugiej połowie 1989 r. i potem, przybrała formę zmiany systemu, przejścia od socjalizmu (nawet jeśli niedokończonego) do demokracji i kapitalizmu, a tak początkowo miało nie być. Nie należy przecież zapominać, że transformacja została zapoczątkowana w głównych zarysach jeszcze w PRL. A zarysy te nie zakładały zmian systemowych. Oczywiście, uruchomione procesy zmian w końcowej fazie istnienia PRL zaczęły tworzyć

nowe realia i żyć swoją własną dynamiką. Efekt tego był jednak taki, że z jednej strony uruchomione procesy nadały często niezamierzonego kierunku transformacji, czyniąc ją systemową, a z drugiej niepomnie ją skomplikowały (podobnie było we wszystkich postkomunistycznych krajach). Przypadek, czy z góry zaplanowana operacja?

Nie bronię III RP, ale biorąc pod uwagę historyczny fakt, że wyszła ona z łona PRL i chcąc nie chcąc wpadła w koleiny przez nią wyżłabiane przez dwa pokolenia, wielkiego pola manewru nie miała. A jeśli jeszcze założyć, że rodzącej się III RP świadomie skomplikowano start, to ze stawianiem jej teraz zarzutów niewydolności należy być bardziej ostrożnym.

Może właśnie tak miało być?

Nowa spiskowa teoria dziejów?

Nie, a tylko ścisłe trzymanie się historycznych faktów, choćby tych powszechnie znanych i mających pokrycie w dostępnych materiałach źródłowych. O tych powszechnie nieznanach i nadal utajnionych, już nie mówię, aczkolwiek jestem przekonany, że odegrały one rolę nie mniejszą, a może nawet większą, od tych pierwszych. O co chodzi?

Chodzi o to, że dziś zapomina się w Polsce (i w świecie) o tym, że przemiany, w wyniku których zniknęła PRL i narodziła się III RP, byłyby niemożliwe, gdyby w marcu 1985 r. do władzy w ZSRR nie doszedł Michaił Gorbaczow.

Nie dociekając kto go do niej doprowadził, partia czy rządzący krajem po śmierci Stalina "kompleks wojskowo policyjny", jedno nie ulega wątpliwości: gorbaczowowska, "pierestrojka" (do niej należy jeszcze dodać "głasność", "nowe myślenie" i "demokratyzację"), która zapoczątkowała w całej "wspólnocie socjalistycznej", ZSRR nie wyłączając, znane procesy przemian, nie jest do dziś rozpoznana odnośnie jej sensu i ostatecznego kierunku.

Stąd też należy przypomnieć co o "pierestrojce" mówił jej autor i wykonawca.

Gorbaczow "pierestrojkę" nazwał "rewolucją", ale "przeprowadzaną odgórnie"³.
Rewolucja przeprowadzana odgórnie

Coś z tym nie tak, ale nie roztrząsajmy już dalej zawilej interpretacji “pierestrojki”, a uznajmy ją za “odgórną rewolucję”, nie żywiołową, tylko zaplanowaną i konsekwentnie przeprowadzoną przez “górnę”, czyli władzę.

Pozostawiając na uboczu jak z “pierestrojkową rewolucją” było w ZSRR i całej “wspólnocie socjalistycznej”, zajmijmy się jej polską odmianą. Ze wszystkich innych, wyglądała bowiem na autentycznie “oddolną rewolucję”. Oto władze PRL, stając w obliczu “rewolucyjnej fali” wiosną 1988 r., zostały zmuszone do ustępstw, a rezultatem tego był “okrągły stół, czerwcowe wybory, rząd Mazowieckiego, “reforma Balcerowicza” i narodziny III RP.

Proste, nieprawdaż? O nie, nie proste.

II

Polska odmiana "pierestrojki", o czym już mało kto pamięta, zwłaszcza że nikt nie wiązał jednego wydarzenia z drugim, zaczęła się rodzić na przełomie czerwca/lipca 1986 r., na X zjeździe PZPR. Nic szczególnego na zjeździe nie wydarzyło się, ale ton jego był jakby bardziej pojednawczy. Co najważniejsze, wkrótce po zjeździe, w ramach amnestii z lipca i września, wypuszczono na wolność praktycznie wszystkich więźniów politycznych (niektórych, co prawda, przetrzymywano nadal, ale pod zarzutem przestępstw kryminalnych).

Takiego kroku władz nikt nie spodziewał się, a podziemna TKK, Tymczasowa Komisja Koordynacyjna "Solidarności", amnestię powitała z zadowoleniem. Niemniej jednak, swojej działalności podziemnej nie przerwała. Mimo to, działalność jej uległa zagadkowym komplikacjom. Lech Wałęsa bowiem, powołał do życia nowy organ - Tymczasową Radę NSZZ "Solidarność". Zaraz też między TKK a TR, co zapewne władze przewidziały (albo nawet inspirowały) zaczęły się kompetencyjne tarcia. Na dobitkę, spontanicznie zaczęły się ujawniać podziemne struktury TKK, w efekcie czego niejawną opozycją solidarnościową przestała faktycznie istnieć. Fakt ten przypieczętowało w październiku 1987 r. połączenie się TKK i TR w TKW, Tymczasową Komisję Wykonawczą "Solidarności", organizację już jawną, ale nadal formalnie nie istniejącą.

Jak to było możliwe? ZSRR akceptował coś takiego?

Nie tylko akceptował, ale zapewne był inspiratorem zakończenia solidarnościowego podziemia. Pomijając już czym było ono naprawdę, gorbaczowowskiej "pierestrojce" było ono tylko zawadą. Nie dlatego, że zagrażało bezpieczeństwu ZSRR i "wspólnoty

socjalistycznej”, ale utrudniało poprawę jego stosunków z USA, które niezmiennie podnosiły sprawę legalizacji “Solidarności”. A ponieważ po gwałtownym pogorszeniu się stosunków amerykańsko-radzieckich w latach 1980-1984 (w pewnym momencie, 28 stycznia 1984 r., po liście Andropowa do Reagana w bardzo ostrym tonie, w związku z rozpoczęciem przez USA rozmieszczania w Europie Zachodniej tzw. euroraket, wybuch wojny pomiędzy obu supermocarstwami nie był wcale wykluczony), zaczęło następować odprężenie, więc należało zabrać się do legalizacji “Solidarności”. Tym bardziej, że w listopadzie 1985 r., po ponad sześćoletniej przerwie, doszło do spotkania na szczycie USA-ZSRR w Genewie, gdzie Reagan z Gorbaczowem, wbrew przewidywaniom, odbyli rozmowy w przyjaznym duchu. Co więcej, obaj postanowili spotkać się powtórnie już w październiku 1986 r., na kolejnym szczycie w Reykjavíku. Do tego czasu - należy zakładać - Gorbaczow chciał ruszyć “sprawę polską” i jak wynikałoby to z sekwencji wydarzeń, uczynił to rękami władz PRL, które raptem zaczęły cucić ogłuszoną stanem wojennym “Solidarność”. Gdyby nie to, to trudno byłoby wyobrazić sobie przebieg późniejszych i dobrze już znanych wydarzeń.

Polityczne koncesje ze strony władz PRL, aczkolwiek najważniejsze, gdyż otwierały drogę do wszystkich innych, nie były jedynymi, ale na ogół mało kto je zauważył.

Od połowy 1987 r. poczynając, rozpoczął się bowiem tzw. II etap reformy gospodarczej (I-szy zapoczątkowano w 1982 r.).

Tym razem, w odróżnieniu od wszystkich innych podobnych reform w historii PRL, zaczęto już otwarcie mówić o konieczności sięgania do rozwiązań z arsenału “gospodarki rynkowej”. We wrześniu 1987 r., co więcej, zezwolono też na otwartą działalność półjawego Towarzystwa Gospodarczego, propagującego prywatną własność i prywatny biznes.

Kroki te były zwiastunem nadchodzących przemian w gospodarce, odmiennych od tych znanych z przeszłości i wyraźnie zahaczających o przemiany ustrojowe.

Do tego jednakże, władze nie chciały przyznać się otwarcie (albo jeszcze nie mogły ze względu na sprzeciw Moskwy). Wobec tego wymyślono referendum, w którym społeczeństwo

miało wypowiedzieć się za lub przeciw II etapowi reformy. Władze zapewne liczyły się ze swoją porażką w referendum, ale nie tylko nie cofnęły się przed nim, ale do niego pchały. I tak, w listopadzie 1987 r., odbyło się referendum, które władze przegrały. Porażka była im na rękę. Wiedziały bowiem doskonale (o czym zresztą mówiły), że II etap reformy może oznaczać spadek stopy życiowej, a tego chcieli uniknąć. Przegrana zwalniała je od konieczności systemowych reform, ale jednocześnie nie uniemożliwiała im działań, które w efekcie, nie pod etykietką PZPR, ale "Solidarności", sprowadziły na kraj wiele wstrząsów, przede wszystkim gwałtowny wzrost bezrobocia. Wiedziały zapewne, że nie ich to będzie kłopot, ale "Solidarności", której formalnie powierzy się rządy nad krajem.

Odąd wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. W lutym 1988 r., celowo lub nie, gdyż obie możliwości są tutaj jednakowo prawdopodobne, władze dokonały kolejnej i znacznej podwyżki cen. W odpowiedzi nie spotkały się z protestami i strajkami, co prawda, ale społeczne napięcie wzrosło, a wiele zakładów pracy zaczęło grozić akcją strajkową.

Jakoż tak stało się i w kwietniu-maju 1988 r., nie bardzo wiadomo z czyjej inspiracji (Wałęsa w rozmowach z zachodnimi korespondentami zaprzeczał w niej udział "Solidarności"), strajki zaczęły wybuchać w wielu miejscach w kraju, a poparcia zaczęło im udzielać OPZZ, prorzadowe związki zawodowe. Władze z kolei, dla "podgrzania" temperatury nastrojów, zaczęły rozbijać strajki, ale o dziwo, nie uczyniły tego w odniesieniu do strajkującej stoczni gdańskiej, w której pracował Wałęsa (nie on zorganizował strajk, ale potem dołączył do jego kierownictwa). Wśród strajkujących znalazł się też przybyły z Warszawy Tadeusz Mazowiecki. Czy strajkujący wiedzieli z jaką misją przybył do nich i kto go z nią wysłał - nie jest jasne (wysłał go Józef Czyrek, członek Biura Politycznego KC PZPR). W każdym razie, opierając się na wspomnieniach M. F. Rakowskiego⁴, Mazowiecki z Wałęsą wywierali uspakajający wpływ na strajkującą załogę, na której koncentrowała się uwaga kraju i świata. Władze jej nie atakowały, napięcie rosło, aż 10 maja 1988 r. doszło do widowiska, które wyglądało na z góry ukartowane. Raptem bowiem, stoczniowcy strajk

przerwali i ok. tysiąca z nich, na czele z Wałęsą i Mazowieckim (trzymającymi się pod pachy), ruszyło ulicami Gdańska do kościoła św. Brygidy. Szczególne zainteresowanie, gdyż Wałęsę już dobrze znano w kraju i w świecie, wywoływał Mazowiecki. "Postępowy katolik", intelektualista (bez pełnego wyższego wykształcenia), poseł na Sejmy PRL, dziennikarz o podejrzanych koneksjach, w czasach pierwszej "Solidarności" redaktor naczelny jej pisma, Mazowiecki specjalnie znany nie był. Tylko w czasie jego internowania podczas "stanu wojennego" rozpuszczano wieści, że został zamordowany.

I oto teraz tenże Mazowiecki urósł w ciągu kilkunastu minut do rangi bohatera narodowego! A za piętnaście miesięcy był już "solidarnościowym premierem"... Przypadek?

Skądże!

III

Pląsy, jakie rozpoczęły władze PRL z "Solidarnością" pomiędzy lipcem 1986 r., a majem 1988 r., skłaniają do wielu głębokich i kłopotliwych refleksji.

O "Solidarności" i innych organizacjach opozycyjnych, jakie zaczęły powstawać w drugiej połowie lat 1970-ch, wiadomo już bardzo wiele, ale ciągle zjawisko to kryje w sobie wiele znaków zapytania, które czekają na odpowiedź.

Dziś, kiedy już z grubsza wiadomo jak "Solidarność" została doprowadzona do władzy w latach 1989-1991, a raczej nie tak do władzy jak współrządzenia Polską, przypominanie niektórych okoliczności towarzyszących temu wydarzeniu może wydawać się zbędne.

Tak oczywiście nie jest, a prawdy trzeba zawsze dociekać, zwłaszcza że chodzi tutaj o sprawy mające wpływ na dalszy bieg polskiej historii.

Sposób doprowadzenia opozycji, wśród której "Solidarność" była siłą wiodącą, do władzy, albo jak kto woli do współrządzenia krajem, może bowiem wyjaśnić wiele, jeśli nie większość przyczyn obecnego kryzysu III RP. Słowo "doprowadzenie" nie jest tutaj użyte przypadkowo, gdyż opozycja nie doszła do władzy (czy współrządzenia krajem), ale została do niej świadomie i konsekwentnie doprowadzona przez uskakujące na stronę władze PRL, zapewne w pełnym porozumieniu z ich radzieckimi mocodawcami.

Nie zawadzi więc przypomnieć jak z tym "doprowadzeniem do władzy" mogło być, gdyż jak w rzeczywistości było - nadal nie wiemy. Mimo to, niezliczona ilość półprawd, a nawet kłamstw, została wmówiona Polakom i światu jako "historyczne prawdy" i jak dotąd nikt nie próbuje ich podważyć. Tym bardziej, że wmówione półprawdy i kłamstwa są dziełem zarówno różnych osobistości b. PRL jak i b. opozycji, przywódców "Solidarności" w pierwszym rządzie, w dodatku poświadczone przez Kościół.

A jak było naprawdę?

Całej prawdy, rzecz jasna, nie znam, ale mam prawo nie wierzyć oficjalnym wersjom wydarzeń, które prezentowane są przez podręczniki historii w Polsce i powtarzane w świecie.

Polemizując z tymi wersjami zastrzegam się, że nie powoduję się żadną awersją do "Solidarności" i innych opozycyjnych organizacji w PRL. Co się tyczy "Solidarności", to moja bezpartyjna żona, lekarz-stomatolog, była jedną z pierwszych w warszawskiej służbie zdrowia, która wstąpiła w jej szeregi. "Solidarnością" nie byłem zachwycony, a o Wałęsie już w parę godzin po wybuchu strajku w stoczni gdańskiej słyszałem z "dobrze poinformowanych źródeł" rzeczy dla niego niepoehlebne, ale wiary temu nie dawałem (podobnie jak wszystkim innym późniejszym komentarzom tej samej natury). Przeciwnie, będąc ambasadorem PRL w Tokio, w maju 1981 r., bez pytania się Warszawy o zgodę, na cześć delegacji "Solidarności" z Wałęsą na czele, która tam przybyła na zaproszenie japońskiej centrali związkowej "Sohyo", wydałem wystawne przyjęcie. Dało mi to okazję poznania Wałęsy i niemal całego kierownictwa ówczesnej "Solidarności" (o epizodzie tym Wałęsa w swoich pamiętnikach nie wspomina, choć pisze o swoim pobycie w Japonii).¹ Jak dalece byłem nim zdegustowany niech świadczy fakt, że po przybyciu do USA, kiedy występowałem przed Helsińską Komisją Kongresu 28 grudnia 1981 r., to nie wspomniałem o nim słowem, choć mówiłem wiele i pozytywnie o "Solidarności".

Nie osobiste odczucia są jednak ważne, a pewne fakty, które prowadzą mnie do niewesołych konkluzji.

Po pierwsze, "Solidarność", licząca wraz z "Solidarnością" Rolników Indywidualnych w swoim szczytowym okresie ok. 12 mln. członków, była tak naprawdę kolosem na glinianych nogach. Ludzi z aparatu władzy cywilnej i wojskowo-policyjnej w swoich szeregach nie miała, a ponadto nie bardzo było wiadomo o co jej szło. Postawa roszczeniowa, jaką przyjęła, była drogą donikąd. Do przejęcia rządów w kraju nie dążyła, ani nawet nie dążyła do współrządzenia nim. Nie miała też żadnych pomysłów na przemiany ustrojowe. Po

wprowadzeniu "stanu wojennego" z "Solidarnością" było jeszcze gorzej. Tym bardziej, że jest więcej niż pewne, że silne jej spenetrowanie przez peerelowskie i radzieckie służby specjalne jeszcze przed "stanem wojennym", po jego wprowadzeniu zostało zwielokrotnione.

Po drugie, nie dyskutując już jak to było z powstaniem "Solidarności", jak zachowała się ona w "stanie wojennym" i przez pierwsze lata po jego zniesieniu, dość zagadkowy jest proces jej reanimacji przez władze PRL, po tym jak z Moskwy powiały "pierestrojkowe" wiatry.

Zanim do tego doszło, w styczniu 1986 r. aresztowano Bogdana Borusewicza, przywódcę podziemnej "Solidarności" gdańskiej, a w maju tegoż roku Zbigniewa Bujaka, przywódcę ogólnopolskiej "Solidarności" podziemnej.

W ten sposób, uwzględniając wcześniejsze internowanie i areszty czołowych działaczy podziemnej "Solidarności", nie mówiąc już o tych, którzy bądź emigrowali bądź z niej wystąpili, albo jak pokajani i zwolniony z aresztu Wałęsa, pracujący spokojnie na swoim dawnym miejscu elektryka w stoczni, "Solidarność" jako siła przestała się liczyć. Co najwyżej, była siłą drzemiącą, którą należało obudzić.

Ale kto miał to zrobić w sytuacji czujności władz i głębokiej penetracji "Solidarności"?

Kto? Ależ władze! Tak też stało się. Jak władze zabrały się do cucenia ogłuszonej w grudniu 1981 r. "Solidarności", mówi się dziś niewiele, gdyż są to sprawy tajne i wstydlive.

O amnestii z lipca i września 1986 r., o reakcji na nią TKK, powstaniu TR i TKW, już było w poprzednim odcinku artykułu. Teraz należy tylko dodać, że reanimowana "Solidarność" nijak nie mogła stanąć na nogi, choć pomagały jej w tym władze, łagodząc represje i ułatwiając do niej dostęp osobistościom zachodnim, ówczesnego wiceprezydenta Busha nie wyłączając. W efekcie tego w kraju i jeszcze bardziej w świecie znów zaczęło się mówić o "Solidarności".

Władze jednakże, kierując się zasadą "dziel i panuj", zaczęły ponadto reanimować

inne organizacje opozycyjne i zezwalać na tworzenie się nowych.

Był to sygnał, że najbliższa przyszłość będzie obfitować w niespodzianki. Jedną z nich był założony pod koniec 1987 r. miesięcznik "Konfrontacje", organ PRON, Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (istniejącej od połowy 1982 r. pryncypalnej instytucji), który zaczął publikować wywiady z przedstawicielami opozycji. W lutym 1988 r. opublikował z Bronisławem Geremkiem, doradcą KKW, który zaproponował zawarcie opozycji z władzą "paktu antykryzysowego". "Trybuna Ludu", organ KC PZPR, ideę podchwyciła. Ruszyło...

Prawda, nie tak zaraz, ale ruszyło. Obok Mazowieckiego na polskiej scenie dziejowej pokazał się nowy bohater narodowy - Geremek, b. wieloletni aktywista PZPR.

IV

Budowa III RP, przedsięwzięcie podjęte przez władze PRL, ale bez wątpienia z inspiracji i pod nadzorem Moskwy, posuwała się szybko, co prawda, ale nie szła gładko. Czy tak właśnie miało być, żeby budowie nadać bardziej wiarogodnego charakteru czy były jakieś inne przeszkody, które ją komplikowały i opóźniały - tego nadal nie wiemy.

Czynnikiem komplikującym i opóźniającym budowę była niewątpliwie szybko pogarszająca się sytuacja gospodarcza w drugiej połowie lat 1980-ch, a jak pokazywało doświadczenie, wywoływało to zawsze wzrost napięć społecznych o trudnych do przewidzenia skutkach politycznych. I tak, o ile w 1986 r. przyrost dochodu narodowego wyniósł 5 procent, to w 1987 r. wyniósł już tylko 1,8 procent, co oznaczało stagnację, jeśli nie spadek stopy życiowej. Na pogorszenie się nastrojów wpłynęła także kolejna podwyżka cen w marcu 1987 r. Pomimo jednak wezwania przez podziemną "Solidarność" do reakcji na nią masowymi protestami, do takich nie doszło, a tam gdzie je podjęto, zostały zdławione brutalnie.

Najbardziej jednak komplikującym rozpoczętą budowę czynnikiem były sprawy polityczne. "Stan wojenny" bowiem i pierwsze lata po nim nie tylko wpłynęły na spadek "bojowego ducha" wśród robotników, ale nade wszystko sparaliżowały podziemie, a raczej jego szczątki, które, czemu nie zaprzecza Bujak jego przywódca, było "rozpracowane" przez służby specjalne⁵. Paradoksalnie jednak, sukces władz w zwalczaniu oporu, zaczął zamieniać się w ich klęskę. Opór wygasł i jeśli zamierzano w pewnym momencie przekazać pałeczkę nowej ekipie spoza istniejącego układu władzy (składał się on z rządzącej PZPR i jej satelitów ZSL, SD i "postępowych katolików"), to komu konkretnie? Ścisłe kierownictwo

“Solidarności”, mimo formalnej jej delegalizacji faktycznie już jawnie działające w 1987 r., nie bardzo nadawało się do jakiegoś koalicyjnego układu, nie mówiąc już o samodzielnym. Nie dlatego, że władze nie miałyby do niego zaufania, ale było ono za słabe do kierowania państwem. Lech Wałęsa, Zbigniew Bujak i Władysław Frasyniuk, najpopularniejsi w “Solidarności”, byli robotnikami z niepełnym średnim wykształceniem. Rulewski miał wyższe, ale jakoś nie mógł się odnaleźć w nowej sytuacji, a Bogdan Lis, również z wyższym wykształceniem, początkowo bardzo dobrze wystartował, ale wkrótce z jakichś niezbyt jasnych względów przestał budzić zainteresowanie kogokolwiek. Bogdan Borusewicz z kolei, postać w “Solidarności” może nawet najbardziej zasłużona, ale jednocześnie zagadkowa, na plan pierwszy nie pchał się, ani też nikt go nie pchał. Andrzej Gwiazda wreszcie, potencjalny przywódca “Solidarności”, wszedł w otwarty konflikt z Wałęsą i wyszedł z jej kierownictwa.

Władze stanęły więc w obliczu konieczności znalezienia nowych postaci w “Solidarności” i jak to wspominałem już w innym miejscu, zaczęły promować Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka i potem jeszcze Adama Michnika. W następnych miesiącach ten tercet odegrał w imieniu “Solidarności” decydującą rolę w budowie III RP, w sposób widoczny, ale niewidoczny, albo półwidoczny, jak “magdalenkowy”, przypadek Wałęsie.

Kto i kiedy położył pierwszą cegłę pod budowę III RP, nie jest nadal jasne. Protokolałt “roboczych spotkań” w Magdalence pisze, że “początki pierwszego etapu (rozmów) pozostają wciąż nie wyjaśnione”⁶. Jediną osobą z “Solidarności”, która wie najwięcej na ten temat, jest Wałęsa. Bardzo dużo wiedzą też Mazowiecki, Geremek i Michnik, ale kwartet ten milczy.

Co się zaś tyczy ludzi władzy b. PRL, którzy wiedzą wszystko o przebiegu budowy III RP, to poza Jaruzelskim, który musiał o wszystkim wiedzieć, głównym majstrem na placu był Kiszczak. Oficer kontrwywiadu wojskowego od 1945 r., szef wywiadu wojskowego, następnie kontrwywiadu wojskowego, od sierpnia 1981 r. minister spraw wewnętrznych i od 1986 r. członek Biura Politycznego, Kiszczak miał “w palcu” działania wojskowych i niewojskowych

służ specjalnych, a ponadto musiał cieszyć się pełnym zaufaniem Moskwy. Nic dziwnego więc, że do budowy III RP, przedsięwzięcia typowo cywilnego charakteru, władze wyznaczyły Policjanta Nr 1. Jeśli bowiem jest prawdą, że Wałęsa był "Bolkim", tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, to Kiszczak nadawał się idealnie do prowadzenia z nim rozmów. Jest też prawdopodobne, że wielu innych uczestników "okrągłego stołu" ze strony solidarnościowo-opozycyjnej, jak ją oficjalnie nazywano, było również bądź współpracownikami, bądź oficerami kadrowymi wojskowych i niewojskowych służb specjalnych. Tym bardziej więc predestynowało to Kiszczaka do rozmów władzy z tego rodzaju ludźmi. Rozmawiał przecież ze "swojakami", a raczej nie rozmawiał, ale wysłuchiwał ich informacji i instruował jak następnie mają postępować. Reszta była zasłoną dymną. A po to, żeby rozmowom nadać wiarygodności, inscenizowano spory, zawieszano spotkania, a nawet zastraszano represje i aresztowano niektórych "opozycjonistów". Trudno więc zrozumieć, że strona solidarnościowo-opozycyjna mogła zasiąść do "okrągłego stołu" z głównym gliną PRL. Czyniąc to, wystawiła przecież sobie świadectwo kolaboranta władz! (czego jednakże, o dziwo, nikt jej dotąd nie zarzucił).

Za formalny początek budowy III RP, podany dopiero po jakimś czasie przez Kiszczaka⁷, był otrzymany przez niego 21 lipca 1988 r. list od Wałęsy, w którym proponował on rozpoczęcie rozmów (nazwanych później "okrągłostołowymi"). Jak doszło do wysłania tego listu - nie wiadomo. Kiszczak, co prawda, podaje różne kanały swoich kontaktów z Wałęsą, ale jednego nigdy nie podał, choć o jego istnieniu wspomniał. Czyżby był to kanał agenturalny? Jeśli tak, to nie Wałęsa był prawdziwym autorem listu, a jedynie "przepisywaczem" tego, co mu rozkazano.

Dlaczego też list Wałęsy nosi datę 21 lipca i dlaczego ani jego autor ani adresat długo nie ujawniali tego faktu? I dlaczego Kiszczak nie spotkał się zaraz z Wałęsą, czekając z tym do 31 sierpnia?

Na te pytania nie znamy nadal odpowiedzi i tylko można domyślać się prawdziwych

tego powodów. Czyżby wytłumaczyć to można było wizytą Gorbaczowa w Polsce w dniach 11-17 lipca 1988 r., pierwszą tak długą radzieckiego przywódcy w jakimkolwiek innym kraju? Dlaczego też Gorbaczow, zaindagowany w czasie wizyty o aktualność “doktryny Breżniewa”, dającej ZSRR prawo do zbrojnego ingerowania w sprawy “bratnich krajów”, przyrzekł odpowiedzieć na pytanie “później”?⁸ Czy Moskwa jeszcze wtedy wahała się co zrobić z PRL?

V

Truizmem jest twierdzenie, że cokolwiek działo się w PRL, to jeśli nie było rezultatem inspiracji ZSRR, to przynajmniej musiało mieć jego akceptację i to w najdrobniejszych szczegółach. Nie tylko przeciętni Polacy, ale także ci z wyższych szczebli władzy, nie bardzo orientowali się jak konkretnie przejawiała się na co dzień dominacja radziecka. Poza bowiem oficjalnymi więzami polsko-radzieckimi, wynikającymi z układów międzypaństwowych i stosunków międzypartyjnych, a nawet wielostronnych, jak w przypadku Układu Warszawskiego i RWPG, istniały jeszcze półoficjalne lub nieoficjalne, które były najważniejsze.

Co się tyczy półoficjalnych, jak na przykład więzów z tytułu przynależności PRL do UW, to choć nie było tajemnicą istnienie tzw. Przedstawiciela Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych (dowódcami byli zawsze generałowie lub marszałkowie ZSRR) w Warszawie, to mało kto wiedział cokolwiek o jego uprawnieniach i działalności. Jak dalece nic o tym nie wiedziano wtedy, a nawet dzisiaj, niech świadczy fakt, że niektórzy polscy historycy, pisząc książki o "stanie wojennym", nie wspominają słowem o istnieniu Przedstawiciela w PRL!⁹ (Przedstawicielem w tym czasie był gen. armii Afanasij Szczegłow, w 1985 r. zastąpiony przez gen. płk. Władimira Siwienoka. A Przedstawiciele w Ludowym Wojsku Polskim mieli więcej do powiedzenia od Jaruzelskiego. Natomiast o istnieniu przedstawiciela/rezydenta KGB w Warszawie historycy wspominają, ale tylko dlatego, że jeden z nich opublikował swoje pamiętniki,¹⁰ a nieco wcześniej o rezydenturze KGB wspomnieli pobieżnie Stanisław Kania¹¹, Wojciech Jaruzelski¹² oraz Czesław Kiszczak¹³. Dopiero po zniknięciu PRL polscy historycy coś niecoś dowiadują się o działalności KGB na jej terenie.

A PRL była ciągle pod czujnym okiem ZSRR. Obok ambasady ZSRR w Warszawie i

konsulatów w Krakowie, Poznaniu, Szczecinie i Gdańsku, wspomnianych już “przedstawicieli” wojska i KGB, Polski “doglądali” też dowódca PGWAR, Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, z Legnicy (od 1984 r. ze Świdnicy) i komendanci jej 59 garnizonów. Wreszcie, Polski “doglądały” również inne radzieckie placówki w różnych miejscach kraju oraz szeroko rozbudowany wywiad i kontrwywiad (PRL nie wolno było przeszkadzać w ich działalności).

Dlatego też było nie do pomyślenia, żeby w Polsce mogły dokonać się jakiegokolwiek przemiany bez wiedzy, a nade wszystko zgody ZSRR.

Gorbaczow, który swoją “pierestrojką” uruchomił proces przemian w PRL bardziej niż gdziekolwiek indziej we “wspólnocie socjalistycznej”, dość długo nie mówił gdzie leżą jego granice. Występując 30 czerwca 1986 r. na X zjeździe PZPR w Warszawie, Gorbaczow powiedział bowiem, że “socjalistyczne zdobycze (w Polsce) są nieodwracalne”¹⁴. W ponad dwa lata później zaś, występując 14 lipca 1988 r. na spotkaniu z intelektualistami w Zamku Królewskim w Warszawie, Gorbaczow mówił, że “...kończy się spór, jaki powinien być obowiązujący model socjalizmu”, dodając zaraz, że “powinien to być socjalizm naukowy”¹⁵.

Jeśli przemiany w Polsce miały mieścić się w ramach “socjalizmu naukowego”, to co miało zmienić się w stosunku do istniejącego stanu rzeczy?

Jak wiadomo, uruchamiane wtedy procesy “pierestrojkowych” przemian w ZSRR, a nade wszystko w Polsce, zgubiły po drodze “socjalizm naukowy”, ale w lipcu 1988 r. nic jeszcze nie wskazywało na to, że tak właśnie będzie.

Cóż więc stało się takiego, że raptem wszystko zaczęło się toczyć według scenariusza, którego w Polsce, władz nie wyłączając, nikt dotąd nie przewidywał? Jeśli już władze wiedziały o nim coś więcej od opozycji, to wiedziały nie wszystko. A o tym co miały robić, dowiadywały się w ostatniej chwili i bardzo możliwe, że otrzymywane instrukcje ulegały jeszcze zmianom.

Czym zatem wytłumaczyć raptowną zmianę kursu Moskwy, w efekcie której doszło w

PRL do "okrągłostołowych przemian" i powstania III RP?

Na pytanie to nie ma nadal odpowiedzi. Pozostają więc jedynie domysły.

"Zimna wojna", która w czasie kubańskiego kryzysu w 1962 r. omal nie skończyła się "gorącą" III wojną światową, w latach 1980-ch osiągnęła stan impasu. Wyścig zbrojeń pomiędzy obu supermocarstwami niczego już nie zmieniał, gdyż dalszy wzrost nuklearnego potencjału był już bez sensu (radziecki był teoretycznie w stanie zabić 30-krotnie każdego mieszkańca globu, a amerykański 16-krotnie). W każdej chwili groził też wojną. Gorbaczow, po dojściu do władzy, rozpoczął więc kampanię pokojową, głosząc nawet nuklearne rozbrojenie świata do 2000 r., Reagan, aczkolwiek nie publicznie, przychylił się do tego. W tej sytuacji, mimo że szczyt Reagan-Gorbaczow w Reykjavíku, odbyty w październiku 1986 r., skończył się fiaskiem, to jednakże kolejny, odbyty w Waszyngtonie, popchnął dramatycznie sprawę redukcji zbrojeń nuklearnych, jako że 7 grudnia 1987 r. podpisano porozumienie, w angielskim skrócie zwane INF, w wyniku którego oba supermocarstwa miały wyeliminować ze swoich arsenałów tzw. Eurorakiety. Nie wchodząc w chwili obecnej w szczegóły o co tutaj chodziło, porozumienie na tyle poprawiło stosunki pomiędzy obu mocarstwami, że kolejny szczyt Reagan-Gorbaczow, odbyty w Moskwie w maju 1988 r., przebiegł w serdecznej atmosferze.

Gorbaczow mógł więc teraz poświęcić więcej uwagi "polskiej sprawie", którą znał dobrze od lat (od połowy 1980 r. był członkiem "Szóstki" w kierownictwie KPZR, tzw. Sztabu Kryzysowego, do którego wchodził Susłow, Andropow, Ustinow, Gromyko i Rusakow). Stąd też, przyjeżdżając do Polski w lipcu 1988 r., chciał zapewne przekonać się na miejscu na ile była ona gotowa do ruszenia jej w kierunku znanym tylko jemu i innym przywódcom ZSRR.

Nie jest tylko jasne, gdyż zbieg dat jest tutaj zastanawiający, czy wspomniany w poprzednim odcinku list Wałęsy do Kiszczaka z 21 lipca 1988 r., otwierający dialog władza-opozycja, był przez Gorbaczowa zatwierdzony, zainspirowany czy może był pomysłem jego

służb specjalnych. Nie jest bowiem wykluczone, że miały one bezpośredni kontakt z Wałęsą i to może nawet bez wiedzy oraz pośrednictwa peerelowskich władz. W przeciwnym wypadku trudno sobie wyobrazić względnie długie milczenie Kiszczaka po otrzymaniu listu od Wałęsy.

Jakkolwiek nie było, po wizycie Gorbaczowa w Polsce drgnęło na linii władza-opozycja.

Jak nigdy dotąd.

VI

Wspominany list Wałęsy do Kiszczaka z 21 lipca 1988 r., który mógł mieć związek z wizytą Gorbaczowa w Polsce, długo pozostawał bez odpowiedzi. Z treści listu Wałęsy wynikało, że zareagował pozytywnie na propozycję Kiszczaka do odbycia spotkania, zakomunikowaną mu przez mec. Władysława Siłę-Nowickiego, b. członka AK i WiN, wieloletniego więźnia PRL, w przeszłości obrońcy więźniów politycznych, doradcy KK "Solidarności" i członka Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Cieszący się opinią człowieka uczciwego i mającego zaufanie obu stron, Siła-Nowicki był w tym okresie wykorzystywany do kontaktów władza-opozycja. Opozycja, głównie "Solidarność", próbowała w tym czasie odzyskać status organizacji legalnej, ale na razie wysiłki jej kończyły się na niczym. Tym niemniej władze jakby uznawały istnienie "Solidarności" i przywódczą w niej rolę Wałęsy. Czy Kiszczak użył pośrednictwa Siły-Nowickiego do nawiązania kontaktu z Wałęsą czy dokonał tego w jakiś inny sposób - nie wiadomo. Pamiętniki Wałęsy "Droga nadziei" kończą się bowiem na 1984 r. Kiszczak zaś o incydencie z listem nadmienił we wspomianej książce-wywiadzie, ale go nie rozwinął i nie wyjaśnił dlaczego Wałęsie nie odpowiedział. Do sprawy tej już nie powrócił.

Tymczasem w kraju, od 15 sierpnia 1988 r., czyli od strajku górników w Jastrzębiu, zaczęła się nowa fala niepokojów społecznych w kraju. Władze groziły użyciem siły (Kiszczak groził nawet wprowadzeniem "godziny milicyjnej"), ale poza wyłączaniem strajkującym prądu i telefonów, czy tu i ówdzie wkraczaniem bez oporu do opanowanych przez nich zakładów, grózb nie zamieniały w czyny. Natomiast, w przeddzień VII plenum KC PZPR, 26 sierpnia 1988 r., Kiszczak wystąpił w imieniu władz w telewizji z oświadczeniem, mówiąc o upoważnieniu go przez władze do odbycia spotkania w "możliwie krótkim czasie" z przedstawicielami różnych środowisk "społecznych i pracowniczych" (określenia

“opozycyjnych” nie użył). Spotkanie, jak to określił, mogłoby przyjąć formę “okrągłego stołu”. O żadnych warunkach wstępnych spotkania, ani jego składzie, Kiszczak nie wspomniał słowem, ale zaznaczył, że uczestnictwo w spotkaniu osób odrzucających “porządek prawny i konstytucyjne PRL”, był z góry wykluczony.

Kiszczak postawił więc faktycznie warunek wstępny, a ponadto nie przyjmując do wiadomości istnienia zorganizowanej opozycji, tylko jakies “grupy społeczno-pracownicze”, warunek ten tylko dodatkowo wzmocnił. Plenum KC (co było do przewidzenia) oświadczenie Kiszczaka akceptowało. Nie jest tylko jasne jakie było w tej sprawie stanowisko KKW “Solidarności”, czy choćby tylko jej części.

Wiadomo zaś, aczkolwiek bez dalszych niezwykle ważnych szczegółów, że po oświadczeniu Kiszczaka, na różnych szczeblach i różnymi kanałami, zaczęły się kontakty na linii władze-opozycja, nasilając się po tym jak 28 sierpnia 1988 r. zastrajkowała stocznia gdańska.

Efektom tych kontaktów, o których niewiele wiadomo, było 3-godzinne poufne spotkanie Kiszczak-Wałęsa, odbyte w willi MSW przy ul. Zawrat na Mokotowie. Data spotkania była nieprzypadkowa, 31 sierpnia 1988 r., dokładnie w ósmą rocznicę “porozumień gdańskich”. Kiszczakowi towarzyszył Stanisław Ciosek, jeden z Sekretarzy KC PZPR, w różnym charakterze od lat mający kontakt z “Solidarnością”. Wałęsie z kolei towarzyszył biskup Jerzy Dąbrowski.

Po spotkaniu wydano krótki komunikat, tym samym kończący jego poufność, że w czasie jego trwania omówiono warunki zorganizowania i tryb “okrągłego stołu”.

Kiszczak zażądał od Wałęsy wygaszenia strajków, a następnie przedstawił “pakiet propozycji”, które strony mogłyby omówić przy “okrągłym stole”. Wspomniał o dwuizbowym parlamencie oraz o miejscu “konstruktywnych środowisk opozycyjnych w systemie politycznym kraju” i roli w nim Wałęsy.

Wałęsa ze swej strony wspominał o “pluralizmie”, o dawnych podziałach w

społeczeństwie, które obecnie są niepotrzebne, gdyż "Polska jest jedna", a na koniec powiedział, że "Solidarności" odpowiadałby system RFN-owski - po jednym związku zawodowym w zakładzie pracy" oraz jakieś "struktury ponadzakładowe".

Ustalono też cztery kryteria spotkania "okrągłego stołu":

- 1) nie będzie się pytać jego uczestników "skąd przychodzą", ale z "czym przychodzą";
- 2) rozmowy będą odbywać się z "ludźmi "Solidarności", ale bez używania nazwy "Solidarności" ("Solidarność" mogła więc zasiąść przy "okrągłym stole" legalnie nie istniejąc!);
- 3) poszukiwana będzie "szansa" wprowadzenia do władz "konstruktywnej opozycji";
- 4) w każdym zakładzie będzie po jednej organizacji związkowej.

Znając zatem te propozycje należy zapytać czy Wałęsa powinien na tych warunkach spotkać się z Kiszczakiem?

Oczywiście, że nie! Ale jeśli istotnie był "Bolkiem", to niczego innego nie można było od niego oczekiwać.

Po spotkaniu na ul. Zawrat, Wałęsa ruszył w teren wygaszać strajki i z zadania, choć z trudem, wywiązał się. Tym niemniej, KKW "Solidarność" w uchwale z 10 września 1988 r. zażądała od władz zmiany postępowania wobec organizacji i przywrócenia jej legalnego statusu. Identyczne stanowisko zajęła też grupa 60 osób, która, nie bardzo wiadomo w jaki sposób zmontowana, przybyła do Gdańska na zaproszenie Wałęsy (wkrótce powstał z niej Komitet Obywatelski, ciało konkurujące z KKW i jak się potem okazało w praktyce ważniejsze).

Kolejne spotkanie Kiszczak-Wałęsa, z towarzyszącymi im osobami, odbyło się 15 września 1988 r., znów w tej samej willi MSW. W jego wyniku postanowiono już w dniu następnym odbyć nowe spotkanie w "poszerzonym składzie", które miało być pierwszym "okrągłostołowym spotkaniem roboczym". Ponieważ jednak na spotkanie przyszło ponad 20

osób, więc przeniesiono się do o wiele obszerniejszej willi MSW w Magdalence. Uczestnikami spotkania byli przedstawiciele PZPR, ZSL, SD, OPZZ oraz "Solidarności". Przedstawiciele, w zależności od ich pochodzenia, nazwano "stroną koalicyjno-rządową" oraz "solidarnościowo-opozycyjną", co było samo w sobie dziwołagiem, ale tak pozostało do końca trwania "okrągłego stołu". Jego oficjalne otwarcie przewidywano na połowę października 1988 r. Problemami, którymi miał się zająć, jak to ujęto w komunikacie końcowym "magdalenkowego spotkania", miały być:

- model funkcjonowania państwa i życia publicznego;
- przyspieszenie tempa rozwoju i modernizacja gospodarki;
- kształt ruchu związkowego.

VII

Niezależnie od zapoczątkowanego dialogu Kiszczak-Wałęsa, w wyniku którego narodził się "okrągły stół", miały miejsce również inne i nie mniej ważne wydarzenia, przygotowujące grunt pod znikanie PRL i rodzenie się III RP.

Wydarzeniami tymi były zmiany w rządzie, wymuszone, o dziwo, nie przez aktywizującą się, choć ciągle wtedy jeszcze nie zalegalizowaną "Solidarność", ale przez prorządowe OPZZ, Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, instytucję powołaną do życia w listopadzie 1984 r. Pod naciskiem OPZZ bowiem (odpowiednią uchwałą przyjęło ono 6 września), istniejący od listopada 1985 r. rząd Zbigniewa Messnera upadł 19 września 1988 r.

Czy chciano w ten sposób pokazać społeczeństwu, że OPZZ dba o jego interesy lepiej niż nielegalna "Solidarność" czy były tego powodem jeszcze jakieś inne względy, nie jest nadal jasne. Mimo strajków, sytuacja gospodarcza w 1988 r. nie tylko przecież nie była gorsza niż w poprzednim roku, ale przeciwnie - tempo rozwoju kraju ulegało przyspieszeniu (za cały rok 1988 wyniosło 4,7 proc., przewyższając ponad 2-krotnie tempo z roku poprzedniego).

Widocznie jednak tak miało być i rząd należało zmienić. Możliwe nawet, że o tym właśnie zdecydował przebywający w Polsce dwa miesiące wcześniej Gorbaczow. A że tak istotnie mogło być, potwierdza to pośrednio sam Mieczysław F. Rakowski, któremu Jaruzelski wspomniał o awansie na premiera (dotąd był jednym z wicepremierów) jeszcze przed uchwałą OPZZ!¹⁶.

Jakkolwiek z tym nie było, 27 września Sejm formalnie powierzył Rakowskiemu misję utworzenia nowego rządu.

Zmiana rządu, czego wówczas nikt poza najwyższymi kręgami władzy w kraju nie domyślał się, była zwiastunem nadciągających przemian nie tylko politycznych, ale także ekonomicznych. Rakowski, nie tak jak Messner, który był profesorem nauk ekonomicznych, na sprawach gospodarczych nie znał się, aczkolwiek zarówno w tygodniku "Polityka", którym latami kierował czy potem w rządzie Jaruzelskiego, pośrednio miał z nimi codzienny kontakt. Nie o to jednak najprawdopodobniej chodziło, ale o większe "oblatanie" Rakowskiego od Messnera w sprawach politycznych, które były niezbędne do przeprowadzenia zmian ustrojowych. Tak się bowiem składało, że zarówno Messner, jak i prof. Zdzisław Sadowski, wicepremier i odpowiedzialny w rządzie za wdrażanie reformy gospodarczej, byli uważani za "element zachowawczy". Rakowski zaś, mimo dawniejszych sporów z "Solidarnością" i popierania "stanu wojennego", miał niezmiennie opinię "liberała" i "postępowca".

Rakowskiemu więc przypadło zadanie rozpoczęcia de facto przemian ustrojowych, choć takiego mandatu znikąd nie miał i sam - jak potem o tym pisał - nawet ich nie chciał, "nie będąc zwolennikiem kapitalizmu w Polsce"¹⁷. Zresztą, za wprowadzeniem kapitalizmu w Polsce nie była także licząca się opozycja, mówiąc co najwyżej o konieczności wprowadzenia "rządów fachowców" w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Rakowski w każdym razie, czy to wyłącznie z własnej inicjatywy czy mając skądś podszepty w tej sprawie, poszedł drogą, która była zapowiedzią głębokich przemian w systemie gospodarczym w Polsce i które potem "szokową terapią" prowadził dalej Leszek Balcerowicz.

Przede wszystkim, wbrew dotychczasowej praktyce, rząd Rakowskiego (za zgodą Jaruzelskiego) uzyskał swobodę działania w sprawach ekonomicznych bez odpowiedniej akceptacji partii. Z reguły bowiem, przynajmniej formalnie, Biuro Polityczne partii kontrolowało rząd na odcinku gospodarczym tak samo, jak na każdym innym. Rząd Rakowskiego wznowił też działalność KERM, Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, istniejącego w latach 1957-1969, ale teraz mającego większą niż dawniej swobodę działania.

Rozwiązał jednocześnie Komisję Planowania Gospodarczego, centrum zarządzania gospodarką, a na jej miejsce reaktywował CUP, Centralny Urząd Planowania, instytucję istniejącą w latach 1945-1948.

Wreszcie, co było niesłychane w historii PRL, na ministra przemysłu powołał Mieczysława Wilczka, prywatnego przedsiębiorcę (aczkolwiek członka PZPR), a resort rolnictwa oddał w ręce ZSL (dotąd był w rękach PZPR).

Na tym nie koniec. Rząd Rakowskiego, co najważniejsze, zabrał się za faktyczną zmianę systemu gospodarowania w kraju poprzez wprowadzenie pod debatę Sejmu dwóch projektów ustaw (przygotowanych jeszcze przez rząd Messnera, ale z jakichś powodów "zapomnianych"), które zostały przegłosowane 31 stycznia 1989 r.

Pierwsza ustawa, nazwana "O podejmowaniu działalności gospodarczej", otworzyła faktycznie drogę do reprivatyzacji i prywatyzacji gospodarki, a więc była początkiem zmian systemowych, aczkolwiek większego rozgłosu temu wydarzeniu nie nadano.

Druga ustawa, nazwana "O działalności gospodarczej z udziałem zagranicznych podmiotów", otwierała drogę napływowi kapitałów obcych.

Obie ustawy - jak to potem (i słusznie) nazwał Rakowski - miały "charakter rewolucyjny", będąc "konstytucją nowo tworzonego przez nas systemu gospodarczego"¹⁸.

Transformacja systemowa zatem, najpierw na odcinku gospodarczym, została zapoczątkowana przez PRL, a nie przez jej następczynię, III RP.

Powstawanie przedsiębiorstw prywatnych, bez określonego limitu zatrudnienia (limit ten wynosił dotąd 50 pracowników) i przy uproszczonej procedurze ich rejestracji spowodował, że mnożyły się one bardzo szybko (zanim Balcerowicz przystąpił do swojej "terapii szokowej" powstało ich 126 tys.).

Co się zaś tyczy kapitału obcego, to mógł on zakładać przedsiębiorstwa, które nawet w 100 procentach mogły być jego własnością i zarządzane nie przez Polaków.

Wtedy też, o czym już Rakowski milczy, zaczęło się tzw. uwłaszczanie nomenklatury.

Wielu ludzi władzy przesuwało się do bezpośredniej działalności biznesowej, korzystając materialnie na tej zmianie (dzięki temu opór ich przeciwko zmianom systemowym był żaden).

W kraju tymczasem szalała inflacja, półki sklepowe pustoszały, a pieniądź gwałtownie tracił na wartości.

Ostatnim akordem rządu Rakowskiego, zanim zmienił go rząd Mazowieckiego, było jeszcze jedno jego posunięcie, a mianowicie zniesienie 1 sierpnia 1989 r. kontroli cen na żywność. Wieś, dość lekkomyślnie, domagała się tego od dawna, nie przewidując urynkowania już wkrótce cen artykułów przemysłowych, na czym w efekcie źle wyszła.

Nie było to już jednak zmartwienie Rakowskiego, ale "pookrągłostołowego" rządu.

VIII

Po wrześniowym spotkaniu w Magdalence i po powstaniu rządu Rakowskiego, nadzieje na szybkie rozpoczęcie spotkania "okrągłego stołu" zaczęły raptem zanikać. Spotkanie miało odbyć się w połowie października 1988 r., stół dla tego celu wykonano w Henrykowie i nawet zmontowano, ale na tym był koniec. Władze, mimo wcześniejszego przyrzeczenia, nie śpieszyły się z przedłożeniem swoich "intencji" na piśmie. Wobec opozycji zastrzono represje (doszło nawet do aresztowania na krótko Bujaka i Kuronia), a premier Rakowski dodatkowo rozjątrzył sytuację w listopadzie zapowiedzią o zamknięciu stoczni gdańskiej jako nieopłacalnej. Rząd ponadto zaczął głosić, że ważniejszy jest suto zastawiony stół niż "okrągły stół", a więc nie było pewne, czy władze nie wycofują się z wcześniejszych oświadczeń, że chcą porozumienia z opozycją (inna rzecz, że władze zezwoliły Wałęsie na telewizyjną debatę z Miodowiczem, przywódcą OPZZ oraz wyjazd do Paryża, co przyczyniło się do "odgrzania" jego popularności).

Co jednak było przyczyną nagłego zamrożenia rozpoczętego dialogu władza-opozycja, jest ciągle niejasne. Najprawdopodobniej w ZSRR nie zdecydowano się jeszcze jak postępować dalej z "pierestrojką", mimo że w październiku 1988 r., po odejściu z kierownictwa partii Andrieja Gromyki i Jegora Ligaczowa, sprawy jakby zaczęły się wyjaśniać na jej korzyść, chociaż na odcinku spraw wojskowych, zawsze w tym kraju decydujących, panowała cisza. Od porozumienia Reagan-Gorbaczow z grudnia 1987 r. w sprawie eliminacji "Eurorakiet", nowych inicjatyw rozbrojeniowych na razie nie było, a bez ruszenia spraw wojskowych, jak uczyło doświadczenie, żadne inne też nie ruszały z miejsca.

I oto raptem Gorbaczow, występując 7 grudnia 1988 r. na forum ONZ, poinformował świat o olbrzymiej i jednostronnej redukcji radzieckich sił konwencjonalnych w Europie. Zapowiedział zredukowanie w ciągu dwóch lat personelu wojskowego ZSRR w Europie o 0,5 mln, wycofanie 10 tys. czołgów i 6-ciu dywizji z NRD (miał ich tam 20)¹⁹.

Deklaracja Gorbaczowa, o której w Polsce mało kto wiedział, oznaczała zapowiedź, że w ślad za nią pójdą inne wydarzenia, zwłaszcza w dziedzinie zbrojeń konwencjonalnych.

Konkretnie mówiąc, pomiędzy Układem Warszawskim a NATO od 1973 r. toczyły się rozmowy na temat tzw. rozrzedzenia sił w środkowej części Europy, obejmującej tylko siedem państw (RFN, NRD, Polskę, Czechosłowację, Holandię, Belgię i Luksemburg). Udział w tych negocjacjach, zwanych "Wiedeńskimi Rokowaniami", brało 19 państw, w tym USA i ZSRR.

Rokowania całymi latami nie uczyniły praktycznie żadnego postępu, a to oznaczało, że postęp we wszystkich innych sprawach, mogących osłabić napięcie w Europie, w tym uruchomić "okrągły stół" w Polsce, był niemożliwy.

Teraz jednak, po grudniowej deklaracji Gorbaczowa, należało spodziewać się postępu na "rozbrojeniowym odcinku" w Europie, a tym samym na każdym innym. Tak istotnie stało się, co prawda dopiero w 1990 r., ale już w 1989 r. było jasne, że postęp taki nastąpi i tym należy tłumaczyć ruszenie rozmów "okrągłego stołu". A że do nich miało dojść, choć z pewnymi jeszcze oporami, świadczą niektóre wydarzenia, które zaczęły mieć miejsce już w kilkanaście dni po nowojorskiej deklaracji Gorbaczowa.

Pierwszym było stworzenie 18 grudnia 1988 r. Komitetu Obywatelskiego w Gdańsku, w wyniku przybycia tam 119 osób, zaproszonych przez Wałęsę. Fakt, że pozwolono mu na coś takiego i że przybyłych nie szykanowano i pozwolono im zorganizować się w KO, był zapowiedzią ruszania "Okrągłego stołu" z miejsca.

Drugim wydarzeniem było rozpoczęte 20 grudnia 1988 r. X plenum KC PZPR. Na jego sesji, z jakichś powodów, zasadniczych decyzji w sprawie "okrągłego stołu" nie podjęto, ale jednocześnie zdecydowano, że będą one podjęte na jego drugiej części za miesiąc. Tym

niemniej stało się oczywiste, że ściśle kierownictwo partii i rządu, z Jaruzelskim i Rakowskim na czele, było za "okrągłym stołem" (pewnie w wyniku odpowiedniej instrukcji z Moskwy).

Na drugiej części plenum (16-18 stycznia 1989 r.) doszło do zażartych sporów, a ściśle kierownictwo podawało się nawet do dymisji (zapewne na pokaz), ale w końcu "linia porozumienia" z opozycją, głównie z ciągle jeszcze nie zalegalizowaną "Solidarnością", zwyciężyła. W uchwale X plenum bowiem z 18 stycznia 1989 r. wyraźnie stwierdzono, że już nie stało na przeszkodzie, żeby wreszcie rozpocząć zapowiadany od pięciu miesięcy "okrągły stół". Ponadto zniesiono ograniczenia na tworzenie się "nowych związków zawodowych", co oznaczało faktycznie legalne odrodzenie się "Solidarności" (uchwała wymieniła ją imieniem).

W rezultacie tego, 27 stycznia 1989 r., w Magdalence odbyły się kolejne rozmowy Kiszczak-Wałęsa (z udziałem innych osób), podczas których uzgodniono szereg szczegółów, niezbędnych do rozpoczęcia spotkania "okrągłego stołu".

Pierwsze jego plenarne spotkanie (potem były jeszcze nieplenarne), z całą pompą propagandową, odbyło się 6 lutego 1989 r. w gmachu Urzędu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Otworzył je Kiszczak, proponując porządek dzienny spotkania. Jego najważniejszym i dość niejasnym na razie punktem było przeprowadzenie "niekonfrontacyjnych wyborów". Wałęsa poparł zaproponowany przez Kiszczaka porządek spotkania. Natomiast obecne przy stole OPZZ zaczęło od domagania się ...zniesienia cenzury! Kiszczak na to nie zareagował. Wałęsa również. Wobec tego obrady trwały dalej, a wynikiem ich było powołanie licznych "zespołów problemowych", które miały szczegółowo zająć się różnymi odcinkowymi sprawami, jak m. in. reformą polityczną, gospodarczą, społeczną oraz pluralizmem związkowym. Zespoły rozbiły się następnie na podzespoły, w rezultacie czego "okrągły stół" miał liczne "stoliki" i "podstoliki", które łącznie zaangażowały ok. 500 ludzi (co się tyczy wspomnianych spraw odcinkowych, to łącznie było ich 14)²⁰.

W rzeczywistości, były dwa "okrągłe stoły".

Pierwszym był "stół" oficjalny, zbierający się w gmachu URM, kierowany wspólnie przez prof. Janusza Reykowskiego, członka Biura Politycznego KC PZPR, reprezentującego stronę koalicyjno-rządową i prof. Bronisława Geremka, doradcę Wałęsy i KKW "Solidarność", reprezentującego stronę solidarnościowo-opozycyjną. Drugim był "stół" półoficjalny, zbierający się w Magdalence, którym odpowiednio kierowali Kiszczak i Wałęsa.

Formalnie ważniejszym był pierwszy "stół", ale nieformalnie ważniejszym był drugi. Z dyskutowanych spraw, polityczne były najważniejszymi, aczkolwiek nie one zajęły uczestnikom "stołu" najwięcej czasu (najwięcej zajęły sprawy społeczno-ekonomiczne).

IX

Obrady "okrągłego stołu", choćby tylko ze względu na uczestników, były niespotykanym w historii Polski dziwołagiem.

Po stronie "koalicyjno-rządowej" bowiem zasiadali:

- przedstawiciele PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), ZSL (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego), SD (Stronnictwa Demokratycznego), PAX (Stowarzyszenia "PAX"), PZKS (Polskiego Związku Katolicko-Społecznego), UchS (Unii Chrześcijańsko-Społecznej) i OPZZ (Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych).

Po stronie "solidarnościowo-opozycyjnej" natomiast zasiadali:

- przedstawiciele "środków opozycyjnych", skupionych w Komitecie Obywatelskim przy przewodniczącym NSZZ "Solidarność" (czyli przy Lechu Wałęsie).

Ponadto, w charakterze obserwatorów zasiadali:

- przedstawiciele Kościoła Katolickiego i Kościoła Augsbursko-Ewangelickiego.

Tak więc, z punktu widzenia czysto formalnego skład "okrągłego stołu" był dziwaczny. O ile bowiem jedna strona, "koalicyjno-rządowa" składała się z przedstawicieli legalnie istniejących organizacji, to druga strona, "solidarnościowo-opozycyjna", była co najwyżej półlegalna. "Solidarność" była przecież formalnie nadal nie zalegalizowana, po tym jak zdelegalizowano ją formalnie w październiku 1982 r. (faktycznie została zdelegalizowana w dniu ogłoszenia "stanu wojennego"), a inne organizacje opozycyjne były bądź zdelegalizowane bądź same się rozwiązały, jak w przypadku KSS-KOR (rozwiązał się we wrześniu 1981 r.). Co więcej, część działaczy "Solidarności", skupiona wokół Andrzeja Gwiazdy i Mariana Jurczyka, była przeciwna idei "okrągłego stołu", podobnie jak

“Solidarność Walcząca”. Identyczne stanowisko zajęła KPN, (Konfederacja Polski Niepodległej) i inne opozycyjne organizacje.

Stronę “solidarnościowo-opozycyjną” reprezentował więc utworzony w grudniu 1988 r. Komitet Obywatelski (patrz wyżej).

Odnosnie atmosfery, towarzyszącej przebiegowi rozpoczętych obrad “okrągłego stołu”, to była ona daleka od dobrej. Wynikało to z rozwoju dyskusji w “problemowych zespołach”, po tym jak od ogólników zaczęto przechodzić do konkretów. Nie bardzo było wiadomo na przykład, co miało oznaczać w praktyce sformułowanie Kiszczaka o “niekonfrontacyjnych” wyborach, a ponadto od razu wybuchły ostre kontrowersje wokół spraw społeczno-ekonomicznych. Strona “koalicyjno-rządowa”, o dziwo, zaczęła przeć w kierunku “urynkowania gospodarki”, zaczynając od zniesienia kontroli cen na żywność, co oznaczało gwałtowne jej podrożenie. Strona “solidarnościowo-opozycyjna” z kolei, zaczęła w związku z tym domagać się częściowej indeksacji płac, a OPZZ nawet pełnej. Propozycjom tym zaczęła się sprzeciwiać strona “koalicyjno-rządowa”, tłumacząc się brakiem na to środków. W większości pozostałych zespołów i podzespołów kontrowersje były też nie mniejsze.

W efekcie tego, po miesiącu obrad, “okrągły stół” stanął w martwym punkcie, a strony zaczęły się wzajemnie oskarżać o powstały impas. Czy był on z góry założony przez władze, które zapewne ze swoimi “okrągłostołowymi” decyzjami musiały czekać na zgodę Moskwy czy był on wynikiem bałaganu w obradach, rozproszonych tematycznie i słabo koordynowanych przez obie strony, jest ciągle sprawą do wyjaśnienia.

Odnosnie pierwszej możliwości, to niezależnie od tego co Moskwa miała do powiedzenia na ten temat (a miała zapewne głos decydujący), władze PRL też bacznie patrzyły na poczynania Zachodu, który po “stanie wojennym” dał im się mocno we znaki. Szczególnie podejrzanie patrzyły na USA, które po “stanie wojennym” poszły najdalej spośród państw zachodnich w demonstrowaniu do nich swojej niechęci, co głównie

przejawiało się w gospodarczych sankcjach i odebraniu klauzuli największego uprzywilejowania. W odwecie, PRL nie zgodziła się na proponowaną przez USA kandydaturę swojego ambasadora w Warszawie, w efekcie czego wzajemne stosunki dyplomatyczne zostały zdegradowane do szczebla *chargé d'affaires*.

USA jednakże, po tym jak z Moskwy powiały "pierestrojkowe" wiatry, postanowiły przełamać impas w swoich stosunkach z PRL i w tym celu, w lutym 1987 r., odwiedził ją zastępca sekretarza stanu John Whitehead, przeprowadzając rozmowy z Jaruzelskim i proponując normalizację wzajemnych stosunków (obiecał też dołożyć starań w kierunku "oprzytomnienia" opozycji)²¹. Odtąd PRL zaczęła wychodzić z izolacji. Od dawna zresztą trwały "ciche" kontakty kanclerza Kohla (poprzez jego doradców) z Jaruzelskim, a 27 września 1987 r. wiceprezydent USA George Bush odbył w Nieborowie niemal 4-godzinne rozmowy z Jaruzelskim, utrzymane w przyjaznym tonie. Wreszcie, Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii, złożyła wizytę w PRL w listopadzie 1988 r., najważniejsza dotąd zachodnia osobistość po "stanie wojennym", odbywając według jej własnej relacji owocne rozmowy z Jaruzelskim²².

Wszystko to było jednak możliwe dzięki gorbaczowowskiej "pierestrojce", tak jak od jej dalszego przebiegu zależały losy "okrągłego stołu", który znalazł się w impasie. A tymczasem Moskwa zapewne zastanawiała się jak go zakończyć. Po tym jednakże jak wojska radzieckie opuściły 15 lutego 1989 r. Afganistan, a 6 marca zaczęła się nowa faza Wiedeńskiej Konferencji rozbrojeniowej (tym razem 23 państw), co do której pomyślnego końca nie było już wątpliwości, Moskwa mogła poświęcić więcej uwagi polskiemu "stołowi". Tym bardziej, że jej stosunki z Waszyngtonem zaczęły się już klarować po nastaniu w styczniu nowej Administracji. Pod koniec kadencji Reagana miała już z Waszyngtonem bardzo dobre stosunki, ale początkowo nie była ich pewna z jego następcą, George H. Bushem, który na razie milczał na ten temat, choć jako wiceprezydent przez dwie kadencje dał się już przedtem jej poznać. Moskwa wiedziała z czasów kampanii wyborczej Busha, że interesował się on

żywo Europą Wschodnią i że na “pierestrojkę” patrzył głównie od strony jej wpływu na przemiany w tym obszarze²³. Ale jak było naprawdę (Bush od objęcia prezydentury nie składał publicznych deklaracji w sprawie polityki zagranicznej) Moskwa nie bardzo wiedziała, aż do 5 marca 1989 r., po tym jak James Baker, nowy sekretarz stanu USA, spotkał się w Wiedniu z Eduardem Szewardnadze, ministrem spraw zagranicznych ZSRR, zapewniając go o jak najlepszych intencjach USA wobec ZSRR²⁴.

Efekt spotkania Baker-Szewardnadze był piorunujący. O ile spotkanie 2 marca 1989 r. w Magdalence nie przełamało “okrągłostołowego” impasu, to następnego, z 7 marca, przełamało i obie strony osiągnęły “kompromis polityczny”. “Okrągły stół” wyszedł zatem z impasu.

X

Cztery lata temu, w broszurze o “okrągłym stole”, napisałem:²⁵

“Reasumując, lepiej stałoby się, gdyby żadnego “magdalenkowego stołu” nie było. Polskę, podobnie jak inne kraje “wspólnoty socjalistycznej”, jakieś zmiany, prawdziwe lub nie, lepsze lub gorsze, czekały tak czy owak. Stało się jednak inaczej i widowisko odbyło się, a przy okazji stworzyło “sitwowe układy”, z których nijak naród nie może się wyplatać”. Dodam jeszcze, że widowisko nazwałem Operacją “Okrągły Stół” i kontrolowaną “solidarnościową rewolucją”, konglomeratem “operacja-rewolucja”.

Mimo upływu czterech lat, wyrażonych wtedy poglądów nie tylko nie odwołuję, ale w świetle nowych faktów, jak też całokształtu rozwoju sytuacji w Polsce, utwierdzam się w nich jeszcze bardziej.

Co się tyczy faktów (niekoniecznie częściowo ujawnionych ostatnio), to po osiągnięciu 7 marca 1989 r. “kompromisu politycznego” w Magdalence (stało się to możliwe dzięki ustępliwemu stanowisku Wałęsy) były jeszcze różne drobne rozbieżności stanowisk pomiędzy stronami, ale w zasadzie losy “okrągłego stołu” zostały już przesądzone. Pozostały jeszcze sprawy kompetencji Senatu i prezydenta. Zgodnie bowiem z propozycjami strony “koalicyjno-rządowej”, obie instytucje miały być utworzone, albo raczej odtworzone, identycznie jak to było w czasach II RP. W nowotworzonym Zgromadzeniu Narodowym, obok istniejącego Sejmu, do którego strona “solidarnościowo-opozycyjna” nie mogła w nadchodzących wyborach zdobyć więcej mandatów niż 35 procent, w Senacie, mającym liczyć 100 członków, ograniczeń takich miało już nie być. Stąd strona “solidarnościowo-opozycyjna” była zainteresowana w daleko idących uprawnieniach drugiej izby. Strona “koalicyjno-rządowa” z

kolei była zainteresowana w daleko idących kompetencjach odtwarzanego urzędu prezydenckiego, do którego pretendowała.

Rozbieżności te, aczkolwiek znaczne, losom "okrągłego stołu" mimo wszystko nie zagrażały i ostatecznie zostały rozstrzygnięte 29 marca 1989 r. w Magdalence, podobnie jak wiele innych, raczej proceduralnej natury. Do takich należało na przykład stworzenie dwustronnej Komisji Porozumiewawczej, która czuwałaby nad realizacją postanowień "okrągłego stołu", którego termin zakończenia jego prac założono na 4 kwietnia.

Nie wchodząc w szczegóły dalszych uzgodnień pomiędzy stronami (obok spotkań w Magdalence trwały bowiem spotkania współprzewodniczących "zespołów roboczych" w Urzędzie Rady Ministrów), "ostatnia Magdalenka" odbyła spotkanie 3 kwietnia, ale ponieważ przeciągnęła się do 2-giej nad ranem 4 kwietnia, wobec tego przewidywany finał "okrągłego stołu" przesunął się o jeden dzień, na 5 kwietnia, na godzinę 17-tą.

Istotnie, z pewnym proceduralnym opóźnieniem, w Sali Kolumnowej Urzędu Rady Ministrów, rozpoczęło się plenarne posiedzenie "okrągłego stołu", podczas którego 57 jego uczestników (w tym trzej przedstawiciele Kościoła) zgodnie postanowiło uczynić je ostatnim.

Z końcowych wystąpień na posiedzeniu, dwa z nich, Kiszczaka i Wałęsy, zasługują na szczególną uwagę.

Odnosnie Kiszczaka, to powiedział on między innymi co następuje:²⁶

- "Fundamentem, na którym budujemy przyszłość... (jest) czterdziestolecie socjalistycznych przeobrażeń. To także już 8 lat naszej odnowy. Doceniamy ożywcze znaczenie ówczesnego wstrząsu społecznego jako protestu przeciwko wypaczeniom socjalizmu. Nie negujemy rzeczywistego reformatorskiego potencjału, który niosła w sobie "Solidarność". A przede wszystkim należne (sic!) oddajemy wytrwałym dążeniom i wysiłkom oczyszczającym i zmieniającym kształt socjalizmu w Polsce. Podejmowała je, od IX Nadzwyczajnego Zjazdu, aż po uchwały X Plenum KC, Polska Zjednoczona Partia

Robotnicza... Zarysowaliśmy wspólnie wizję zreformowanego systemu społeczno-politycznego, którego podstawą jest społeczeństwo socjalistycznej demokracji parlamentarnej... opracowaliśmy także społeczny consensus w sprawie umocnienia nowego, reformatorskiego ładu ekonomicznego...uzgodniliśmy swoje zobowiązanie co do polubownego rozstrzygnięcia sporów i konfliktów społecznych... W niektórych sprawach ekonomicznych pozostały nieprzezwyciężone rozbieżności. Przyjmujemy, iż wyznaczają one kierunki dalszych poszukiwań i ewentualnych późniejszych rozwiązań..." (podkreślenia moje; ZMR).

Z przemówienia Kiszczaka wynikało więc, że nie kto inny tylko PZPR jest nośnikiem zachodzących przemian, że od 1981 r.(czyli od "stanu wojennego"), trwała w Polsce odnowa, a same przemiany mają jedynie poprawić istniejący socjalizm, ale go nie obalać!. Kiszczak jednocześnie zastrzegł się, że co się tyczy spornych spraw ekonomicznych, to należy się tutaj spodziewać "późniejszych rozwiązań".

Jakich? Do dziś nie wiadomo, czy Kiszczak już wtedy wiedział co to będą za "rozwiązania" i czy wierzył, że nie naruszą one w niczym socjalizmu. Prawdopodobnie wiedział, choćby z tego powodu, że rząd Rakowskiego faktycznie rozpoczął już przemiany ustrojowe, które miały pójść jeszcze dalej, ale o tym na razie wolał nie mówić.

W przemówieniu Kiszczaka, co więcej, nie było słowa o tym, że PZPR powinna zejść z polskiej sceny politycznej, że PRL należałoby zastąpić III RP i że Polska powinna odzyskać pełną suwerenność.

Właściwie więc, wszystko miało zostać po staremu, ale jednocześnie miało być jakos po nowemu...

A co na to odpowiedział Wałęsa?

Zacznijmy od tego, czy Wałęsa powinien w ogóle uczestniczyć w podobnym widowisku? Gdy występował ze swoją mową 5 kwietnia 1989 r., od formalnego zalegalizowania "Solidarności" (stało się to 17 kwietnia) dzieliło go jeszcze prawie dwa

tygodnie. Stał więc na czele organizacji, która niby istniała i zarazem nie istniała! Dlaczego zgodził się na tak dziwną sytuację i na taką komedię? W rzeczywistości bowiem występował w imieniu "Komitetu Obywatelskiego", personalnie dołączonego do jego osoby i w znacznej mierze złożonego z ludzi, których nie znał! Jak zatem mógł ich proponować na jego członków?

A może to nie on ich proponował?

Jakkolwiek z tym nie było w rzeczywistości, swoje przemówienie Wałęsa zaczął od słów, że "nie ma wolności bez "Solidarności"... W istniejącej sytuacji zabrzmiało to jak kpina ze wszystkich tych Polaków, którzy mu ufali.